

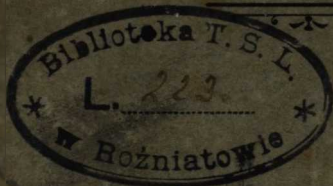
XII 182

Zuch-Baba.

NAPISAŁA

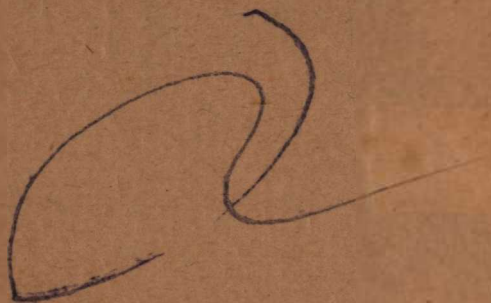
W I L A.

Utwór uwieńczony nagrodą
na 11-tym konkursie Gazety Świątecznej.

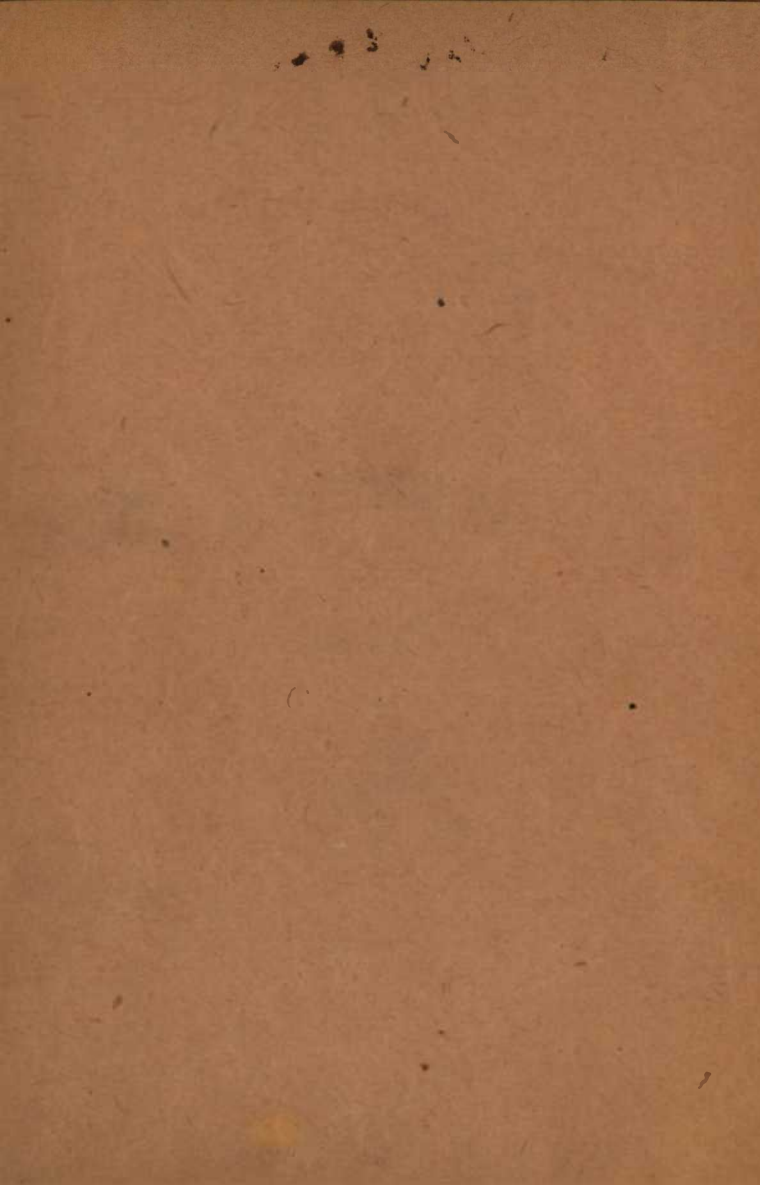


Księgarnia Krajowa Konrada Próżnyńskiego
w WARSZAWIE,
Plac Trzech Krzyży (gdzie kościół Św. Aleksandra),
liczba domu 11.

—
1903.







Z Mostowski kł 3.

WYDAWNICTWO GAZETY ŚWIĄTECZNEJ
i KSIĘGARNI KRAJOWEJ K. PRÓSZYŃSKIEGO.

Zuch-Baba.

NAPISAŁA

W I L A.

Utwór uwieńczony nagrodą
na 11-tym popisie uzależnionym przez pisarkę
Gazety Świątecznej.

Mostowski



Księgarnia Krajowa Konrada Prószyńskiego
w **WARSZAWIE**,
Plac Tzech Kzyży (gdzie kościół Św. Aleksandra),
liczba domu 11.

—
1903.

303746

Дозволено Цензурою.
Варшава 10 Февраля 1903 года.



1000174477

K 308/77/4

BIBLIOTEKA

UMCS
LUBLIN

217p1



Na skraju lasu stała chatka maleńka. Podobniejsza ona była do skleconego naprędce szałas, niż do porządnej chałupy.

Ściany były cienkie i nierówne; okienko jedno większe niż drugie, widać, że zastosowane do kupionych gdzieś przy rozbiórce domu starych ram. Dach słomiany miał szczyt jeden otwarty, niezaszalowany, z łatami sterzącymi nierówno, jakby czekały, aż chatce przybędzie jeszcze druga izba, a wtedy i im przysztukują kawałki do przedłużenia dachu.

Ale druga połowa chatki nie przychodziła, a szczytowa strona dachu pokazywała jakby przez otwarte wrota, co się działo na strychu.

Było tam trocha słomy kulowój, powiązanej w małe snopki, jak do pozywania; była furczyzna potrawu, schowanego widać dla przyszłych cielątek; było kilkanaście snopków słomy prosianej, także jako przysmak chowanej dla krowy, a tymczasem służącej za przynętę dla wróbli, które całymi stadami furczały koło dachu, szukając nieomłóconych ziarenek prosa.

Ale też prócz wróbli nic nie zakłócało ciszy przy chatce.

Naokoło otaczało ją pole ze sterzącymi gdzieś pieńkami po dawnym lesie, i zarośla czekające jeszcze rąk pracowitych, uzbrojonych siekierą, motyką i lemieszem. Do chatki prowadziła wązka, nieubita drożyna, służąca widocznie tylko mieszkańcom jej do łączenia się ze światem i ludźmi, bo gościńca blisko nie było widać. Tylko opodal wzdłuż brzegu lasu stało kilkanaście tak samo ubogich i jakby tymczasowych, daleko jedna od drugiej porozzucanych, chałupek.

Był to dawny dworski kawał lasu, wyrąbany i rozdany na czynsz dzierżawny włościanom.

Zarośnięta drożyna i ciza wkoło świadczyły potroze o tém, co się wewnątrz chatki działo. Mało życia i ruchu było zewnątrz, bo w chacie zjawił się gość straszny, wypłaszający wesołość, hałas i ruch. Zjawiła się śmiertelna choroba.

Na łóżku w rogu izby leżał chłop, lat średnich, ale wychudzony; głowę miał wysoko na poduszkach wzniesioną, oczy zapadłe, a twarz bladą.

Oddychał z trudnością i spoglądał wokoło niespokojnym wzrokiem, jakby wyszukiwał czegoś, coby mu ulgę przynieść mogło.

Przy łóżku w nogach stała jego żona, krzepka kobieta, i rozmawiała z cicha z dwiema starami gospodyniemi, przybyłemi widocznie dla odwiedzenia chorego.

Troje dzieci, od lat ośmiu do dwunastu, wałęsało się bezradnie po izbie, to spoglądając żałośnie na ojca, to szepcząc między sobą, że dziś nie było nawet obiadu.

— Jagna!—zawołał chrypliwie chory,— a latałaś do Grzelów po jałowiec?

— Juści, dopierom przecie przyszła. Dostałam trochę tych jagód. Mówili, żeby mocno ugotować i dawać pić jak herbatę. Czy ci teraz nagotować, tobym nanieciła ognia?

— Zgotuj. Mówią, że to pomocne.

— Ej, kumie Grzegozu!—odezwała się jedna z kobiet, Walentowa;— dalibyście też spokój próżno turbować kobietę. Wam już to nie pomoże. Lepiej o duszy myśleć, nie o lekowaniu. Wy zaraz umierać będziecie, przecie już wam oczy wciągnęło, i ziemia na twarz wystąpiła.

— Doprawdy? tak myślicie? A czemuż ja nic nie czuję? Tylko trocha oddychać trudno,— rzekł chory obojętnie, jakby to nie o niego chodziło.

— Już ja, Bogu dzięki, nie dzisiaj,— mówi ta sama kobieta;— tyle lat żyję i tylu umierających widziałam, to wiem. A zresztą niech i Kubiakowa powiedzą.

Druga baba kiwnęła głową.

— Co prawda, to prawda,— rzekła.— Ja, przyznam się, tylko dzieci widziałam, jak umierały, a chłopca to nie; ale i mnie się widzi, że wam, Grzegozu, już bliżej, niż dalej.

— O Jezuu najśłodszy!—jęknęła tymczasem Grzegorzowa, przykładając fartuch do oczu.

A dzieci, jakby czekały tego, zbiegły się i zaczęły chlipać, cisnąc pięściami oczy.

— Tu niéma czego jęzczyć! — ofuknęła Walentowa. — Chwała Bogu, po chześcjańsku umiera, Sakramenta święte przyjął, z Bogiem się pojednał, przytomny jest, nie męczy się, to i czegoż żądać? Daj nam Boże wszystkim taką śmierć!

— To może mi dacie gromnicę, Walentowo, — szepnął chory.

— Jeszcze czas. Pobłogosławcie wpierw żonę i dzieci, powiedzcie swoją wolę, a potem pomodlimy się, pókiście przy pamięci.

Grzegorz westchnął. Nie czuł téj blizkiej śmierci, bo nic go nie bolało. Nie miał żadnych widziadeł, o jakich słyszał, że miewają inni. Czyżby to już była śmierć tak blisko? Strach go zdjął przed sądem Bożym.

— Jaguś! — zawołał na żonę, — Jaguś, odpuść mi, że niedobry byłem dla ciebie... Ale tyś jeszcze młoda, zechcą cię wydać; nie idź, pamiętaj, bo dzieci skrzywdzisz...

Oddychał głośno, oglądał się po izbie, na drzwi, i znów mówi:

— Dzieci, słuchajcie matki, jak ojca, bo z tamtego świata przyjdę, a ukarzę, jak będzie potrzeba. Jaguś, a na mszę świętą daj za moją grzeszną duszę i odpuść!..

Chciał podnieść rękę nad głowami dzieci, które, choć zapłakane, ze strachem i ciekawością patrzyły na twarz jego. Nie miał siły. Walentowa podniosła jego rękę i zrobiła nią krzyż w powietrzu.

Chorego zmęczył wysiłek. Pot wystąpił mu na czoło. Poruszał ustami, jakby mu tchu brakło.

— Podnieś mi wyżej głowę,— poprosił jeszcze.

Walentowa mrugnęła znacząco na Kubiakową, która poszła po gromnicę, a sama podeszła pomódz Jagnie dźwignąć chorego w górę na poduszki. Pokręciła głowę słysząc, jak mu zabulgotało w piersiach, kiedy go ruszyła.

Kubiakowa podała tymczasem zapaloną gromnicę i książkę nabożną. Wszyscy uklękli i zaczęli odmawiać litańję do Wszystkich Świętych.

Chory poruszał tylko ustami zamiast odpowiedzi, i coraz częściej przymykał oczy.

Walentowa odmawiała równo i głośno litańję:

— Wszyscy święci Męczennicy, módlcie się za nami! Święty Sylwestrze, módl się za nami! Święty Grzegorzu, módl się za nami!

— Jaguś! podnieś!— wyszeptał bulgocząc chory, i otworzył oczy.

Żona poskoczyła, podłożyła ręce pod plecy, dźwignęła w górę, a z ust chorego poląła się krew, i głowa zwiśla bezwładnie w tył,—martwa.

— Święty Ambroży, módl się za nami! Święty Augustynie, módl się za nami!— odmawiała tymczasem Walentowa dalej.

A Jagna i dzieci zawodziły głośno, pochyliwszy głowy do nóg zmarłego.

Na trzeci dzień potém wracała Gzegozowa z cmentaza parafjalnego, oddawszy mężowi ostatnią posługę. Całą drogę towarzyszące jęj sąsiadki radziły nad losem jęj i dzieci.

Gzegozowa szła milcząca, czemu się nikt nie dziwił, bo strapionęj wdowie nie uchożiłoby nawet być bardzo mówną.

Ale Gzegozowa milczała nie gwoli przyzwoitości, tylko z ciężkiego frasunku. Rozmyślała, jak sobie dać rady z trojgiem dzieci i gospodarstwem bez żadnego zasobu i bez męskiej ręki?

Gzegoz wprawdzie dawno niedomagał, od czasu jak się przy karczunku naderwał; ale przecie wykarczował kilka morgów. I choć dostatku wielkiego nie było, chléb jednak był w chałupie. Kiedy zboże nie urożiło, albo go było zamało, jak w pierwszym roku, gdy wzięli grunt zpod lasu od dzieżica, to Gzegoz z siekierą zarabiał i kupowali mąkę w miasteczku.

Ostatniego roku już mało miał siły. Pójdzie z pługiem, to w godzinę już postawi konia, a sam przysiądzie na pieńku, bo od tego częstego podnoszenia pługa na piachach dech mu zaraz zapierało.

Ona przychodzi, bywało, i półzartem ni-by prowadzi pług raz, drugi, aż on odpocznie i znów ją odgania do chaty.

— A idźno, bo jeszcze kto obaczy, to śmiać się ludzie z ciebie będą!—mawiał.

Ale za chwilę znów to samo.

I tak na zimę to prawie że sama Gzegozowa temi żartami zorała pole, bo on już byłby przed mrozami nie zdążył.

Ale co teraz będzie z gruntem? Jak mu da radę?

Sąsiadki tymczasem jedna po drugiej kładą jęj w uszy:

— Moja Grzegorzowo, to nijak nie może być, abyście bez chłopca ostali w chałupie! Przecie to i orać, i kosić, i zwozić, i dobytek obządzić; jakże tu baba poradzi? Chyba że odstąpicie swój grunt komu?

— Gdzie zaś! A cobym bez gruntu zrobiła? Nie ustąpię. Tyle pracy miałabym komu oddać? Ojciec zdrowie na karczunku ostawił, a jabym dzieciom tego nie utzymała? Tego nie będzie!

— To musicie brać chłopca, ani chybi. To nie babskiego rozumu taki kawał ziemi potrzebuje.

— Rozumu jak rozumu, ale rąk. A przecież chłopca nie wezmę. Słyszeliście, jak nieboszyk przykazywał?

— Słyszeć słyszałam, ale już też, niech go tam Bóg sądzi! Sam nie wiedział, co gadał. Niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale przecie wiedzą ludzie, jako nienajlepszy dla was był, póki był zdrów. Toć po sprawiedliwości należałoby wam poprobować drugiego, możeby się lepszy trafił.

— Niechże mnie Bóg broni od téj próby! Czego umierający żąda, to święte,— broniła się wdowa.

A łatwo jęj to przychodziło, bo i do prawdy niemało biędy doznała od jednego męża, i wcale jęj nie pilno było do drugiego.

— A no, to parobka będziecie se musieli zgodzić, a to koszt.

— I koszt, i języki ludzkie!—dodała druga.

Tymczasem doszły do Grzegorzowej ścieżki. Że zaś wdowa poczęstowała sąsiadki już w miasteczku, więc teraz poszły one dalej, do swoich zagród, a ona sama weszła z dziećmi do chaty. Tu izba była upzątnięta i wieczerza ugotowana, bo Walentowa zostawała na ten dzień na gospodarstwie.

— Bóg wam zapłać, Walentowo, za waszą łaskę. Bo czém ja wam odpłacę, biedna sierota?

— Dobróm słowem, dobróm słowem. A zresztą moja kolej niedługo. Siedemdziesiąt lat mam na plecach, to mnie one prędko do ziemi zaciągną. Jak przyjdzie do tego, to grudkę ziemi rzucicie na mnie.

Pierwszą noc Walentowa nocowała w zagrodzie wdowy, aby jój raźniej było, ale nazajutrz wszystko wróciło do zwykłego porządku.

Mazec był. Ziemia jeszcze była zmarznięta, ale w powietrzu już pachniało wiosną. Pączki na drzewach zgrubiały, ptaki zrobiły się jakieś kzykliwsze, a szerść bydłu léniała na szyjach.

Grzegorzowa od świtu do nocy krząta się jak mrówka. Na płacz nie ma czasu.

W czasie choroby męża len nie był dopięziony, więc rano i wieczorem przy świetle śpiesznie przędła, aby jeszcze utkać do wiosny. Potém z Jaśkiem, najstar-

szym chłopakiem, sła dawać bydłu i koniom paszę, napojić, podesłać. Tzeba było urąbać trochę dzewa i różne drobne roboty spełnić,—do wszystkiego sama się brała. Dziewczynki, Marysia i Ewka, pomagały także. Zamiotły izbę, oskrobały kartofli, rozpały ogień, nakarmiły kury, gęsi i świnkę.

Tylko codzień przechodząc koło chlewka wzdychała Grzegozowa, bo przypominał jój się wieprz sprzedany przed dokarmieniem na opłacenie kosztów pogrzebu.

Coby to za grosz był, żeby się to było jeszcze choć z miesiąc pokarmiło! A teraz ani myśleć kupić, bo i za co?

W kilka dni jednak przemyśliła, zkad wziąć na wieprza pieniądze. Po cóż ma trzymać parę koni? Trzymał mąż, bo często zarabiał furmanką, to dzewo wożąc na sprzedaż do miasteczka, to podróżnych z koleji; ale teraz to tylko szkoda patrzeć, jak koniska paszę zjadają darmo.

Plugiem w jednego konia będą orali, zwieźć tym jednym też łatwo, a ubędzie jeden pysk do żywienia, i grosz się znajdzie.

A oto i na mszę świętą dać przecie trzeba za duszę nieboszczyka, jak żądał, bo nawet się jój przyśnił.

W najbliższy jarmark Jasiek na koniu, a matka obok powędrowali do miasteczka.

Wrócili bez konia, ale Jagna z radością prowadziła uwiązanego za nogę sporego wieprzka.

— Oto i na mszę świętą dałam całego rubla, i chłopcu szalik kupiłam na pocie-

zenie po koniu, i dziewczuchom gościńca, i jeszcze mi na wiosenną spłatę czynszu pieniędzy zostało. Bóg łaskaw, jakoś to będzie, — myślała idąc rażno, pociągiana przez wyrrywającego się wiepżka.

Wtém zagadnął ją jeden z sąsiadów, też wracający z jarmarku.

— Źle zaczynacie, Grzegorzowo, źle! Wypzedajecie się z dobytku, a robić nie będzie czém. Cóż za gospodarstwo bez sprzężaju? Toć tu pod miasteczkiem końmi codzień parę rubli można zarobić.

— Ale do koni trzeba chłopa, ja nie poradzę furmanić.

— Bo też namyślcie się i bierzcie chłopa. Naraję wam pozładnego człowieka. W sam raz dla was: zdrowy, silny do roboty, z wojska wrócił, i chce się brać do gospodarki.

— Niech się bierze, ale nie do mojej. U mnie już jest gospodarz, mój Jasiek. Jak zdołamy, tak będziemy robili, a reszta... wola Boska.

— Oj, żebyście tylko nie żalowali, kobiéto! Ja wam po sąsiedzku radzę, bo mi żal patrzeć, aby się praca nieboszczyka Grzegorza zmarnowała. I znów, prawdę mówiąc, jakoś u nas tego nie bywało, żeby się baba za chłopa obierała.

— A toć nawet nie godzi się o tém gadać, sąsiedzie! Nie zdążył mój nieboszczyk zastępnąć w świętej ziemi, a już wy mnie o drugim gadacie. Toć nie opłakałam tamtego nawet, jak się patrzy, — mówiła wdowa, byle się odczepić od rajców.

— Tak-że i mówcie! Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie. Poczekać to można, jako że i w pole jeszcze nie czas; ale na zawsze to się nie zarzekajcie, i bardzo długo też swego nie oplakujcie, bo potem to już choćbyście chcieli, będzie trudno.

— A toż dlaczego? Przez jaki rok tak znów nie postarzeję!

I uśmiechnęła się, pewna siebie, bo wiedziała, że jeszcze hoża była i zdrowa jak orzech.

— Nie to, — odpowiada tamten, — ale mówię wam z życzliwości: jak się do nie-swoich rzeczy rzucicie, do czegoś, co babie nie uchoźi, to potem każdy sobie pomysli: Co mi po takiej niewieście, która zechce być rozumniejsza odemnie! słuchać mnie nie będzie, jeszcze gotowa mną rządzić, jak mam koło roli chodzić!

— Ej, to i nie będę płakała, jak mnie nie wezmą.

— A ja powiadam wam, że długo czekać to niebezpiecznie, bo choć do siewu jeszcze czas, ale jużci te kzaki — toby i przed siewem można potrochu karczować. Płaci się za ziemię, to niech nie leży darmo.

— Ach to, to prawda, że do tegoby należało się wziąć. W ostatnim roku tak mało już mój stary miał siły, nie prawie nie wykarczowaliśmy. Choć to się tam niby krowy pasie, albo gźieniegdzie kosi, ale jużci to czynszu nie opłaci, nie to, co rola!

— Otóż widzicie! A gdybyście tak chociaż *zapojinę* zrobili z tym żołnierzem, to

róbby na wesele poczekał, a tymczasem przychodziłby na robotę i jakie pół morga wydrapałby do wiosny!... Cóż, jak myślicie?

— Nie wiem, muszę się proboszcza poradzić wedle grzechu, że to wola ostatnia męża inna... I dzieci zapytać...

— O, to już wcale niepotrzebnie! Co to? dzieci mają wami ządzic? Ale róbcie, jak wiecie, a tymczasem zostawajcie z Bogiem, mnie już czas do domu.

Odszedł, a Grzegorzowa odetchnęła.

Wiedziała ona dobrze, jakiego to żołnierz ma sąsiad na myśli, i bała się całkiem odmawiać. Był to jego krewniak blizki, a i nietylko jego. Połowa gospodarzy byli mu to krewni, swojacy, to przyjaciele. Jakże się takiemu narazić? Cała wioska będzie trzymała jego stronę. A on, ladaco, ułożył sobie, że u wdowy chleb gotowy, to będzie im dogadywał.

Chce łatwym sposobem na sierocy grunt się dostać, bo swojego nie ma nic, jeno ten kaftan dziurawy, kusy, i te buty polatane. Od kiedy do wsi wrócił, nie ma czego się uzepić, bo ojciec wszystko oddaje dzieciom z drugiej żony, a jego ledwo trzyma przy sobie i radby się pozbyć.

Ale i nie dziwić się temu ojcu, bo Karol, choć zdrów i młody, niebardzo na robotę, a więcej na kieliszek i na dziewczuchy spogląda. I dawniej był nicpotém, ale przez te lata to się do reszty rozpuścił.

I to takiemu pędziwiatrowi miałyby sieroty i ich mienie powierzyć dlatego, że jego ojciec chce go się pozbyć, a krewnia-

cy chcą go łatwym sposobem i cudzym kosztem na gospodarstwo wykierować?

— A niedoczekanie wasze!—myślała sobie.

Ale tymczasem rozmowa ta przypomniała jęj taką ważną rzecz, jak karczunek.

— Ot, mój Boże, prawdziwie po bab-sku gospodarzę: przęde całemi rankami; a krzaki, za które trzeba płacić, stoją sobie i wkozeniają się lepiej! Napsuł mi krwi ten stary swoim swatowstwem, ale za to przypomniał niedoczekany, co robić powinnam.

Zaraz nazajutrz, zabrawszy motykę i siekiere, i starsze dzieci do pomocy, wzięła się Gzregorzowa do roboty przy karczunku.

Silna była i młoda, a do takiej roboty zwyczajona, bo i z mężem karczowała zawsze. Jeno, że wtedy robiła tylko motykę; okopywała ziemię naokoło pieńka, wyszarpywała co drobniejsze kozenie, a Gzgorz siekiere podcinał co najgrubsze; potem razem podważali drągiem i dobywali pniak, który znowu Gzgorz rąbał na szcapy, a dzieci układały w stosiki.

Teraz i siekiere i motykę trzeba było robić samęj. Jasiek jeszcze mało miał siły; a choć rwał się do siekiery bardzo, matka bała się, że między kozeniami noga mu się powinie i łatwo o wypadek. Tyle że mu pozwoliła dobyte mniejsze pieńki rozrąbywać na równym gruncie.

Niesporo też szło. Przez zimę ręce odwykły od tak ciężkiej pracy i głowa od schylania, to też aż czerwono jęj się przed

oczyrna robiło i ręce w łopatkach i łokciach bolały. A strach ogarniał, gdy spójrzała, że przez dzień, przy ciągłych odrywkach to do bydła, to do wieprzka, to do ugotowania strawy, zrobili bardzo mało, ledwie na takim kawałku, jak izba w chałupie.

— O Jezu! ileżby to czasu trzeba tak robić, zanim pod kozec żyta téj ziemi udrapię?...

Ale na drugi dzień trafiły się jakieś drobniejsze pieńki, albo łatwiejsze do wyjęcia, bo sosnowe. I przybył znacznie większy kawałek, a razem z pierwszym to już się wydawał taki, jak niezgorszy wazywny ogród. Na trzeci dzień ręce mniej bolały i robota szła znów spozéj.

— Jużby też z mendel snopów stanął na takim płacie ziemi, jakby się dobrze narodziło!—mówiła wdowa pocieszając siebie i Jaśka, a przypatrując się rosnącej pod jój motyką pustéj przestrzeni.

I tak codzien obliczała z dziećmi przyszłe nadzieje.

— Już z pół kopy!... Już z kopa!—wylizowała radośnie.

A Jasiek tak się przejął karczunkiem, że sam od rana napędział, aby prędzej iść do roboty.

Ale i słońce przygzewało coraz mocniej. Ziemia odtajała zupełnie. Wody po śniegach spłynęły z pagórków, i tylko gdzieś po dołkach stały jeziorka, błyszczące zdaleka i odbijające w sobie niebo z przelatującymi po niém białymi

dmurkami, i stojące nad brzegami jeziorzek nagie gałęzie kruszyny i leszczyny, i stada ptaków, niespokojne przed nadejściem wiosny.

Już pewnego dnia dzieci posłyszały skowronka, a potem z radością dostzegły bociana krążącego nad stodołą Gzregorzowej zagrody.

— Mamo! mamol—wołał Jasiek,—bociany chcą u nas siadać. Ja wleżę na stodołę i koło dla nich położę.

— Daj spokój! koła starego nie mamy, a nowego nie dam przecie zdjąć z wozu. Zresztą teraz jużbyś ich tylko tém odstraszył. Nie płoszczcie ich tylko, a dadzą sobie i bez was radę. Gałęzi po karczach nie braknie, byle jéno chciały siadać.

Dzieci wszystkie pilnowały uważnie bociana. Widziały, jak latał wokoło najpierw jeden, potem dwa, potem gdzieś odleciały, i znów zjawily się. Za dnia nie było ich widać jakiś czas, ale na wieczór przylatywały i stawały na rogu stodołki.

Wreszcie Ewka dośledziła, jak jednego dnia bocian zaczął budować gniazdo. Przybiegła aż na karczowisko z tą ważną nowiną.

— Już buduje gniazdo bocian! Już znosi suche patyki!—krzyczała zdaleka.

Dzieci pobiegły przekonać się na własne oczy.

Gzregorzowa nie przyznawała się przed dziećmi, ale także jak dziecko ucieszyła się bocianiem gniazdem. Ludzie mówią, że to dobra wróżba, że się szczęści za-

grodzie, gdzie bocian osiądzie. I teraz właśnie na jój gospodarstwo taka wróżba. Może to i zabobon, jak ksiądz powiada, a jednak starzy ludzie mówią, że prawda. Tak, czy owak, zawsze to dobrze, bo i dzieciom będzie weselej, a przecie kiedy i nie pomoże, to i nie zaszkodzi.

I jakoś rażniej jój było brać się do wiosennych robót razem z bocianami.

Tymczasem i bydło zaczęli ludzie po trochu wyganiać na paszę. W kszakach, choć trawy nie było, to młodych pędów naogryzało, i zaraz mléka było więcej.

W przeszłym roku Jasiek pasał krowy, ale że teraz wyszedł już na gospodarza, więc kolej przyszła na Marysię. Płakała niemało, bo jużci to niewola, i bała się, że rady nie da; ale przecie się odważyła, gdy matka obiecała za zasługi spódnice, fartuch i chusteczkę, a Jasiek pierwsze dwa dni pomógł popaść, nim się bydło wzwyżajilo. Dwie krowy i jałówka—niewielka zecz; Marysi się zdawało, że to całe stado.

Mléko z pierwszych trzech dni zlała Grzegorzowa osobno, i z uzbieranego masła zrobiła lampki do kościoła, jak miała zwyczaj corok; a twaróg oddała ubogiej przed kościołem.

Po nabożeństwie posła na plebańję poradzić się u proboszcza.

Opowiedziała, jak to ją ludzie swatają i za kogo. Powiada też o swojém gospodarstwie, i prosi o radę.

Książ się skrzywił i powiada:

— Prawdę mówiąc, nieładnie to, jak wdowa tak się śpieszy zamąż. Ale jeśli sieroce mienie ma ucierpieć, to co innego. Matka najpierw powinna się zastanowić nad tém, z czém dzieciom lepiej, nie jój. Ja to tego Karola trocha znam, ale wy pewnie lepiej. Czy się wam podobał?

— Oj, proszę ojca duchownego, cóż się ma mnie podobać? Czy mnie w głowie w mojem wdowieństwie za chłopami się oglądać!

— Nie o takie podobanie pytam, ale jak się wam zda, czy to uczciwy człowiek, czy nie skrzywdzi sierot?

— Uczciwy to on może jest, bo nie złodziej; ale lekkoduch i, choć chłop jak dąb, na cudzą pracę się ogląda. Lubi wypić, zabawić się, toby tylko myślał, jakby u wdowy chleb znaleźć gotowy.

— To i cóż się mnie radzicie? Sami wiecie, że krzywda stałaby się dzieciom. A jakież wasz pierwszy obowiązek? Dobro dzieci!

— Otóż to, że i tak źle, i tak niedobrze. Mnie w mojem sieroctwie w zgodzie z ludźmi żyć trzeba, bo mi nieraz od sąsiadów trzeba będzie pomocy. Babie w gospodarstwie samój trudno poradzić. A cała wieś—to jego krewni albo przyjaciele, i za nim trzymają.

— To może i niezły człowiek, kiedy go tak wszyscy lubią.

— Ej tam lubienie! Jak to ludzie! Swego by nikt złamanego grosza mu nie dał;

ale tak z cudzego, z sierocego, co im szkodzi, że się krewniak zapomoże i na karku im nie będzie siedział!..

— No, to znów co innego. Rada łatwa. Miłsze dzieci, niż sąsiedzka zgoda. Nie iść i basta! Nad wdowami i sierotami jest Opiekun najlepszy i On ich skrzywdzić nie da. Byle tak żyć, aby tego Opiekuna nie obrażać, to na innych się nie oglądajcie!

Gzregorzowa wzdychała i popłakiwała trochę.

— Cóż to? nie umiecie może śpiewać: „Kto się w opiekę”?—zapytał ksiądz.

— Co nie mam umieć? jużci umiem.

— A no, to codzień z dziećmi śpiewajcie tę pieśń, a gdyby was jaka przykrość spotkała, dajcie mi znać. Kto z Bogiem, Bóg z nim.

Gzregorzowa ucieszyła się słowami księdza i wesoła wróciła do domu.

Prędko potem nadchodził dzień płacenia za ziemię. Poszła jak i drudzy płacić. Poniosła schowane od jarmarku pieniądze. I jakże się ucieszyła, kiedy dziedzic nie chciał wziąć od niej przyniesionego czynszu.

— Słyszałem od proboszcza,—mówi,—żeście stracili męża, kobięto, że sami pracujecie na roli; póki więc bez męskiej opieki jesteście, to wam z czynszem pośluguje.

Gzregorzowa objęła dziedzica za kolana, osypała błogosławieństwami, i rozplakana z radości pobiegła pędem do domu — zanieść dzieciom taką dobrą nowinę.

Sąsiedzi, którzy byli tego świadkami, pomarkotnieli. Zapłaciwszy dziedzicowi wstąpili jeszcze na wódkę, a potem, zwolna wracając do wsi, mówili w drodze o wdowie.

— A to ci psia krew przychlebna baba! — wołał jeden. — Już się i księdzu podlizowała, już i do dworu trafiła, i ot na darmo będzie siedziała!

— To mi sprawiedliwość! Ja mam siedmioro drobiazgu, że jedno drugiego nie podniesie, a ona tylko troje, i to odchowanych. Nie mógł to dziedzic mnie podarować, jak i jój? — odezwał się drugi.

— Dlaczegoż tylko wam? Cóżby mu to znaczyło i wszystkim darować ten dziesięcny czynsz! Albo to my w takim dostatku wszyscy żyjemy?

— Bo to ksiądz winien! Nie jest dla nas życzliwy. Widno, że go dziedzic słucha, kiedy zaraz na jego słowo dał taką ulgę Grzegorzowej. Gdyby za nami przemówił, byłoby tak samo.

— Trzeba pójść do proboszcza i powiedzieć, jako to niesprawiedliwie jest: bo my także parafjany, jak i ona Grzegorzowa, albo i lepsi, bo łatwiej księdzu przysłużymy się czy furmanką, czy robotą jaką.

— Nie inazéj, tylko trzeba pójść na przysłą niedzielę.

Poszli też.

Ksiądz im tłumaczył, że nie może żądać od dziedzica, aby ludziom silnym, zdrowym, nie kalekom, ani pogozelcom, dawał jałmużnę. A to byłaby jałmużna, bo umówili się płacić, a umowa święta rzecz.

Żadnego zaś nadzwyczajnego nieszczęścia: ani gradu, ani ognia nie doznali, więc dla nich samych, gospodarzy, byłby wstyd prosić o darowiznę.

Prócz tego ksiądz przekładał, że powinni wziąć pod swoją opiekę Grzegorzową i jej dzieci, nie dać ich krzywdzić, i pomagać im ile możności.

Wysłuchali wszystkiego cierpliwie, przyznali słuszność, że wstyd by im było jałmużny, i przeprosili księdza odchodząc. Ale do Grzegorzowej zawziętość nie ustała.

Taka to mocna rzecz—zazdrość ludzka!

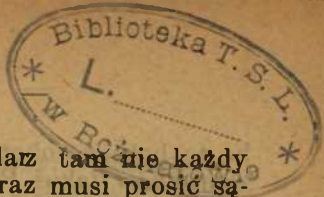
Ale Grzegorzowa nic o téj zazdrości nie wiedziała. Pełna była dobrych myśli.

Oto karczunku wyrobiła spory kawałek. Bydełko pasło się spokojnie, nigdzie w szkodę nie włącząc. Masła już uzbierała parę kwart i sprzedała. Pole pod owies zradliła z pomocą Jaśka. Wszystko szło pomyslnie, widoczna była opieka Boska.

Radłąc pole z chłopakiem, oglądali się oboje, czy kto nie patrzy zdaleka, bo i jedno niewprawnie prowadziło konia, i drugie—radło. Nieraz musieli zawracać, aby wyprostować brózdę, bo różne krzywosy naraziłyby ich na żarty doświadczonego robotnika.

A takiego doświadczonego trzeba było przyprowadzić na pole, bo już co zasiał, to Jagna nie mogła.

Słyszała, że są takie okolice naszego kraju, gdzie kobiety siewają zboże; ale w okolicach Hrubieszowskich tego zwyca-



ju niéma. A i gospodarz tam nie każdy dobrze siać umie; nieraz musi prosić sąsiada, a za to w czém inném mu wygodzić.

Posłała więc i Jagna po gospodarzach prosić o zasianie owsa.

Choć wszędzie uczciwie i po bożemu powitała domowych, widziała, że ją kwaśno przyjmują. Kobięty nietyle, ale z mężczyzn każdy się na nią boczył, i kilku odmówiło, pod pozorem, że mają tego dnia ważną robotę.

Po jej odejściu zaś każdy mrucał:

— Siěj, babo, sama, kiedyś taka chytra, żeś się za chłopą obrała! Zresztą, masz dobrych opiekunów: ksiądz i dziedzic niech ci zasieją.

Markotno już się robiło Grzegorzowój. Myślała, że trzeba będzie aż na cudzej wsi szukać siewacza. Ale przypomniała sobie, że Pakuła jeszcze w zimie prosił Grzegorza o odstąpienie mu owsa na siew, bo tak ładnego gatunku ziarna u żadnego z tych osadników nie było.

— Za pieniądze ani za odrodek teżby nie poszedł,—pomyślała sobie;—ale za ziarno to pójdzie, bo wie, że go inaczej nie dostanie.

I dobrze zgadła, bo Pakuła, choć również kzywém okiem na nią patzał, jak inni, ale owsa potrzebował, więc za przyzeczzone nasienie całe jazyenne pole zasiał obiecał.

— Ot, i to się jakoś udało, — cieszyła się wdowa.—Czy to mi wiele tego siania potrzeba? Najwięcej to posadzę kartofli,

bo to babska robota, a w jesieni z zasiewem znów jakoś Pan Bóg dopomoże.

Nazajutrz też stawił się Pakuła. Grzegorzowa czekała go z obiadem, a Jasiiek z gotową do zawłóczenia broną.

— Oho, a któż to wam pole poradził? Mówiliście, że nikt niechce się nająć?

— To mój Jasiiek tak już się swoich próbuje,—rzekła wdowa,—nie chcąc przyznać się do tego, jak naprawdę z tą robotą było, że sama ją wykonała.

— Fiu-fiu! Wcale niezła robota!—rzekł Pakuła.—Czego-to bięda nie nauczy! Mój Jędrak ma już piętnaście lat, a jeszcze go posłać nie można ani z pługiem, bo spaskudzi.

W parę godzin było zasiane, i Jasiiek włóczył.

Grzegorzowa, co miała najlepszego w komoże, stawiała przy miskach przed Pakułą. I wódkki parę kieliszków się znalazło jeszcze od pogrzebu, i kluski na mlęku były, i chléb z masłem i serem, i kapusta ze słoniną.

Pchała w chłopca, jak w dziurawy wór, byle jego łaski nie utracić. I dokazała swego.

Już też rzadki taki chłop, któryby się wódką i jadłem przekupić nie dał.

Pakuła przyrzekł zasiać nazajutrz groch, a potém, jak przyjdzie pora, to i jęczmień, i len, i proso. Ofiarował się nawet sam prowadzić pług pod sadzenie kartofli, że to Jasiiek możeby jeszcze równo nie potrafił, osobliwie po pieńkach.

Grzegorzowa usom własnym nie wie-
rzyła. Przyszedł wrogiem, a odchodził pra-
wie przyjacielem.

Prawdę zec, u własnej żony nie wsta-
wał od stołu z tak pełnym żołądkiem, to
i na rękę mu było częściej na takie gody
przychodzić.

No, i wyjadł wszystkie lepsze zapasy.
Ale też jój wiele bardzo wygodził.

Póki sadzili kartofle na dawném kar-
czowisku, szło jak z płatka; ale jak doszło
do świeżego, zobaczyła Grzegorzowa, jak
trudno było po niém pług prowadzić. Gdy-
by nie Pakuły pomoc, byłaby musiała
zapewne sadić ręcznie, a ileżby to czasu
zajęło!

To też nie załowała owój szperki, i
masła, i wódki. I tylko dziękowała Bo-
gu, że jój zesłał takiego pomocnika.

Pakule tak się podobały poczęstunki
u wdowy, że radby ich częściej używał.

Owsa korzec dostał oprócz tego na na-
sienie, więc i tak drogo był zapłacony,
a poczęstunek dostawał swoją koleją.

To też choć już i proso było posiane,
przyszedł któregoś dnia do wdowy w goś-
cinę, zapytać, czy nie potrzebuje jakiejś
pomocy. Myślał ją swoją pamięcią udo-
brudzić, aby się zgodziła oddać mu łąkę
na współkę, bo jój samój o kosiara będzie
trudno.

Grzegorzowa, nie chcąc go sobie zrażać,
bardzo gzezuje przyjęła.

— Chwała Bogu, — myślała sobie, — że
mam choć jedną życzliwą duszę. Turbo-

wałam się, co zrobię ze zbiorem siana; ale teraz to już odważę się i poproszę Pakuły, aby się najał z kosą na parę dni. A już mu też jadła nie pożałuję za jego dobre serce dla moich sierot.

I zastawiła przed Pakułą stół, czém tylko miała najlepszym.

Stary nie przywykł do takiego honorowania. Puszył się więc jak indyk, i rozsiadłszy się na ławie jadł za trzech, i baraskował z gospodynią w najlepsze. A Jagna co raz mu podsuwała miski gościnnie...

A tu nagle dzwi się otwierają z tza-skiem i wpada z krzykiem Pakulina, wprost od dzwi do męża z pięściami przyskakując.

— A! ty znowu tu! Swoje gospodarstwo, i żonę, i dzieci zucasz, a tu się będziesz do wdowy zalecał, jak jaki młody frant?! ty! stary dziadzie!

— Kobięto, upamiętaj się! A czy mnie to w głowie! Toć owies wziąłem na nasienie musiałem odrobić za niego, a teraz myślałem ot wedle łąki. Co tobie w głowie?

Wstał zmieszany i starał się pochwycić rękę żony, która szarpała go za rękawy, chcąc wyciągnąć z izby.

— Doprawdy? Za ten korzyk owsa la-tałbyś tu mało nie codziennie? Komu innemu głowę tém zawracaj, nie mnie. Starys, a głupstwa ciebie się trzymają, że tylko śmiech ludziom! Obraza Boska! Ale ja nie taka, abym na zgorzenie pozwoli-

ła. Nie będziesz tu więcéj chodził, bo kości połamię téj bezwstydnicy! Idź do domu!

I pchała męża do drzwi.

Gzregorzowa zrazu przestraszona i zmieszana usunęła się na bok od kłótni małżeńskiéj; ale na obelgę przy dzieciach sobie rzuconą żal ją zdjął, aż się zatrzęsała.

— Jak się Boga nie bojicie, Pakulino? Kzywzić tak biedną sierotę, za którą niéma się kto ująć! A toć jakby mi o chłopca chodziło, tobym se młodszego znalazła i ślubnego,—przeciem wolna! Jeden wasz uzałił się nade mną i pomagał przez dobre serce, a wy jego dobry uczynek tak szkalujecie!

— Ojéj! jakie mi niewiniątko! — przedrzeźniała Pakulina.—Już też tém sierocstwem każdemu oczy mydlisz. Lepiéj ci bez męża niżli z nim, bo i czynszu nie płacisz, i cudzymi chłopami swoją rolę obrabiasz, a swój to cię nieraz bijał! i dobrze robił!

— A toś jęzor rozpuściła, stara! — krzyknął teraz Pakuła, rad, że już z niego złość żony przeszła na wdowę.—Ciągnęłaś mię do domu, a teraz sama trzymasz. Albo idź mi zaraz do chałupy, albo tak cię poczęstuję, że zobaczysz!.

— Obaczymy, kto kogo!—wzasnęła baba. I dalejże się szamotać z mężem.

Ale przecie chłop był silniejszy. Wyciągnął kobiétę z izby, dał jéj parę szturchańców i poprowadził do domu.

Gzregorzowa odetchnęła. Ale i zafraso-

wała się niemało. Otóż i długo nacieszyła się tym przyjacielem, który ją tyle jadła kosztował!

— Dobrze mówią, że wilk chowany, a przyjaciel jednany niewiele wart, — myślała sobie.

Teraz ani myśleć znaleźć kosiarza w wiosce. Bała się także, aby ją Pakulina na ludzkie języki nie podała przez zemstę.

Ale że Jagna pracowita była kobieta, a wesola z natury, więc się długo nie markociła, bo i nie miała na to czasu.

Tyle było roboty!

Trzeba było plęć wazywa, len, proso, ogarniać kartofle, karmić wieprzka zbieranem ziele, bo już kartofli, których posadziła więcej niż zamierzała, niewiele jój zostało, a jeść było trzeba.

Łąka nie schożiła jój z pamięci.

Wiedziała, że każdy z najnieżyczliwszych sąsiadów wziąłby ją chętnie na współkę, gdyby oddała; ale oddać połowę siana tylko za zbiór, — a czémże przekarmi swoje bydło i konia?

— Ej-że, czy to kosić już ma być ciężej, niż co innego robić? — pomyślała narzecie. — Nie ukozę tyle, co chłop, to niedł połowę, niedł czwartą część, ale też nikomu siana nie dam.

Od tego dnia codzień przed wschodem jeszcze słońca brała kosę i szła uczyć się kosić na małych pustych kawałczkach między krzakami poręby leśnej.

Z początku sło kulawo.

Nie tyle ją to męczyło, ile nawet karzowanie; ale trudno było utrafić kosą tak przy ziemi, aby wszędzie równo trawę ścinała. Skoszone przez nią pierwsze kawałki wyglądały jak źle ostrzyżona czupryna. W jedném miejscu do samej ziemi omal nie z korzeniem powyrywane trawy, a w inném stały kępkami ominięte kosą, a jeszcze w inném przez pół tylko ścięte.

Trawę tę starannie zgrabiła Jagna w pładitę dla krów, i nie zrażając się trudnym początkiem, codzień chodziła na naukę.

Po tygodniu coraz gładziej wyglądały miejsca między kszakami. A po dwóch już Gzregorzowa pewna była, że na czystej łące, gdzie krze nie przeszkadzają i zamachnąć się można lepiej, potrafi kosić nie gorzej od jakiego młodego dłopaka. Cieszyła się jak dziecko i tém, że siana oszczędzi, i że sąsiadom pokaże, jako bez nich nie zginie.

A jednak nie radaby była, aby ją widzieli przy robocie...

W kszakach łatwo było się chować, ale łąka na otwartém miejscu, i choć chaty z rzadka stoją w wiosce, ale grunta stykają się ze sobą, a łąki témbardziej.

Kiedy przyszedł czas kośby i gospodarze pozaczynali swoje łąki, zdziwili się bardzo widząc zdaleka, że i łąka Gzregorzowej zaczęta.

Jeden drugiemu w myśli zazdrościł, że

do spółki z wdową przystąpił, bo żaden nie wiedział, który. Przez zazdrość nie pytali siebie wzajemnie, jéno czekali, czy je kobiety przyjdą przetrząsać pokosy.

Kosiarza nikt nigdy nie widywał na łące, choć codzień przybywało pokosów. Zdziwili się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyli Gzregorzową z Jaśkiem, jak w dzień przetrząsała siano.

— To ani chybi, Pakuła znów jój kosi! Przypochlębia się wdowie stary, a nie przyznaje się, — boji się swojej baby! To już paskudna sprawa!

Zaraz też odsądźali Gzregorzową od czci i wiary, i oskarżyli przed Pakuliną.

Na drugi dzień, zaraz po północy, już się stara Pakulina zazajęła pod lasem, aby złapać męża na gorącym uczynku.

Ledwie świtać zaczęło, postyszała bzęk kosy na łące Gzregorzowej. Więc wysuwa się ze swego schowania.

Szarawo było jeszcze, i dobrze chyłkiem musiała się przybliżyć do łąki, nim poznała w kosiarzu—wdowę.

Własnym ozom nie wierzyła.

Jagna machała kosą nie gorzej, niż byle chłop, a pokosy kładły się równiustkie, jak pod sznur. Tego jeszcze nikt nie widział i nie słyszał, żeby baba kosiła trawę! Rety!

— Chyba ta kobiéta złego ma do pomocy, że tak jój się we wszystkim wie dzie. Zkąd ona to potrafi? Przecie z młodu się nie przyuczała. To już nieczysta siła!

I na samą tę myśl przeżegnała się stara.

Ale w téj chwili Gzregorzowa pewna, że co żyje śpi jeszcze w osadzie, i że jest na łące sama, zaczęła dla dodania sobie odwagi śpiewać: Kto się w opiekę.

Długo stała Pakulina patrząc na tę osobliwą kosiarkę. Potém cichutko zawróciła, i chyłkiem, aby ani Gzregorzowa, ani nikt jój nie spozzegł, dopadła swojej chałupy.

Nie mówiła nikomu, co się jój przydażyło, ale od tego czasu nigdy złego słowa nie powiedziała na wdowę. A kiedy siano już wyschło i pora je było składać. niespodzianie pierwsza powiedziała mężowi:

— Słuchaj, stary, możebyś pozedł pomódz wdowie w stóg złożyć siano. Temu baba nie porażi.

Pakuła osłupiał.

— A to co nowego?! Dawno tyle termedyj robiłaś o tę wdowę? a teraz mię sama wysyłasz! Dosyc się przez ciebie wstydu nabrałem na starość...

— Ja sobie wtedy tak na żarty!— mówi kobiéta.

— Dobre żarty! Nie, nie głupim, nie pójdę!

— A kiedy mówię, że pójdiesz, i już! Wszyscy gospodarze na ciebie pyskują za tę łąkę; a tak, jak pójdziemy oboje, to się im gęby pozamyka, rozumiesz? Niéma o czém gadać, bierz widły!

Pakuła częściej słuchał żony, niż ona jego, i przywykł robić pod jój rozkazami. Ruszał ramionami, mruczał, ale wyszukał widły, grabie, i poszli oboje.

Przyszedłszy do zagrody nie zastali Gzregorowój. Była już z Jaśkiem na łące, składała siano w kopice i myślała je zabierać wozem do domu na strych, bo czuła, że stogu nie ułoży sama.

Pakulina z dobrą miną, jakby się nigdy nie były kłóciły, podchodzi, pozdrawia „pochwalonym” i mówi:

— Przyszedłszy tu z moim pomocą wam do stoga; a może macie już kogo zgodzonego?

Gzregorowa z wielkiego zdziwienia nawet nie mogła przemówić. Ale Jasiek, rad z niespodzianych pomocników, zaraz zawołał:

— Gdzie zaś! Ktoby nam miał pomagać? Mielśmy oto sami zwozić na strych, bo nie dalibym rady stożyć.

— To i dobrze, przydamy się. Idź, stary, wynajdź miejsce na stożek, my będziemy podawać.

Rozrzęczała się, jak u siebie, aby nie potrzeba było tłumaczyć się, co ją tu przywiodło.

Obešlo się też bez tłumaczenia, bo i Gzregorowój wstyd było przypominać tamtą kłótnię; więc choć zdziwiona i zmieszana, ale wdzięczna za tę niespodzianą pomoc, przyjęła szczerém sercem swoich niedawnych wrogów.

— Ja chciałabym mieć stóg przy obejściu, łatwiej by go upilnować, i w zimie nie potrzeba zwozić,—odezwała się, byle coś powiedzieć.

A w duszy myśli:

— Prawdziwa opieka Boska nade mną. To tak, jak z tą świętą Gienowefą, co wszyscy jój wrogowie zostali przekonani. Ja to tylko grzesznica, ale nie jaka Święta. A przecie jak to Pan Bóg mną się opiekuje, zupełnie jak w téj pieśni, co ją z dziećmi śpiewam.

W sercu czuła taką słodkość, że rada-by cały świat przygarnąć do piersi. Podeszła pokornie do Pakuliny, pocałowała ją, jako starszą, w rękę, i powiada:

— Niech wam to Pan Bóg nagrodzi, bo On was tu przyprowadził.

— No, niéma za co, niéma za co! Pogniewaliśmy się trocha tak z prędkości; aleśmy pomiarkowali, żeście wy stateczna kobiéta, a w sąsiedztwie mieszkająca, to i żyjmy po sąsiedzku. My pomożemy wam, a wy nam, jak się należy po katolicku!

Odtąd gawędziły, zagrabiając i podając siano.

A kiedy po złożeniu stoga zasiedli razem do wieczerzy, nikt by się nie domyślił, że przed tzema tygodniami ci sami ludzie o mało za łby się nie woźili.

Przy wieczerzy dopiero, rozgadawszy się o gospodarstwie, o kłopotach i nadziejach, wydała się Jagna z tajemnicy, że sama kosiła łąkę. I stary Pakuła aż drogi nadłożył, wracając do swojej zagrody, aby przez łąkę przechodzić i uważnie przyjrzeć się śladom kosy.

— To ci kuta baba!—mówił do swojej.
—Jój byle kto teraz niech nawet nie na-
Zuch baba.

wija się na męża, bo by go chyba do ką-
dzieli i do dzieci piastowania zapędziła!

— Nie bój się! Nie taka ona harda.
Pokorna przed starszymi. Mnie, zem star-
sza, to i w rękę pocałowała, i podzięko-
wała za łaskę, żeśmy jój pomogli. Zna
się na rzeczy. A że byle durnia za męża
nie weźmie, albo pokaże chłopom, że się
i bez nich obejdzie, to dobrze, bo już też
sobie inшы i nadto do głowy przybiera!

— Ot, i tobie starój we łbie się prze-
wraca!—oburknął Pakuła.—Wielka parada,
że skosiła tam tę marną łączynę! A jed-
nak ze stogiem nie poradziłaby sobie bez
chłopa! Aha?!

Już żniwa się zbliżały. Codzień Grze-
gozowa zachodziła do swego żyta, wy-
skubywała jedno ziarno z kłosa (bo całe-
go żałowała zrywać) i ścisnęła w palcach,
czy już stwardniało. Co dzień było tward-
sze.

Wreszcie, choć inni gospodarze czekali,
aby zupełnie wyschło na pniu, Grzegozo-
wa postanowiła zacząć żniwa pierwsza.

— Oni mogą czekać,—myśli sobie,—bo
każdy z większą gromadą wyjdzie na swo-
je pole, i do tego kosić będą; a ja, nim
sierpem złapię to całe półko prawie sa-
ma jedna (bo co tam ten dzieciak pomo-
że), to i kiedyż to będzie?

Umyśliła też zaraz po Świętym Pietrze
i Pawle zaczynać.

W to święto poszła do kościoła, jak
zwykle, a razem zaniosiła masło do spze-

dania. Niewiele to się teraz płaciło, bo w gorąco, nim je doniosła do miasteczka, robiło się prawie rzadkie, i sklepiczarka krzywiła się na taki towar. Ale i ta para złotych co tydzień dużo znaczyła dla wdowy, bo otrzymane za konia pieniądze mogła oszczędzić na czarną godzinę.

Wracała z kościoła razem z innymi. Wtém podszedł do niej znowu sąsiad, krewniak żołnierza, i zagadnął:

— Cóż, namyśliliście się już, Grzegorzowo, wedle tego, com wam mówił? Czas by już przestać opłakiwać nieboszyka, kiedy się żywy a chwacki chłop trafia. Ha?

Jakoś od wiosny, od tych gniewów z gospodarzami, nikt jój nie zaczął o Karolowe swaty. Rada była, że tak to sobie przycichło bez awantury. A tu oto znów się zaczyna.

Złości ją wzięły, ale odpowiedziała sąsiadowi spokojnie:

— Ej, co mi tam po chłopach!

— Jednak by się przydało! Bo i cóż wy sobie myślicie, że żyto na ścianę kosić, albo jazynę, to tak łatwo, jak łączkę wygolić? Nie na babskie to ręce robota, nie! I przecie „weselój w chałupie, kiej je dwoje na kupie”,—powiadają ludzie.

— Ej, będzie, jak Bóg da. Zboże zbiorę sierpem, dzieciśka pomogą, niech się wczas włożą do każdej roboty. A już też tak się namyśliłam, że im ojczyrna nie dam, i tyle!

Stało się! Musiała kiedyś przecie szcze-

ze powiedzieć, niech jój głowy nie zawracają po próżnicy.

Sąsiad odstąpił nadąsany.

— Ha! jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, ludzie mówią. A mówią też i to: piepzu nie przetzesz, baby nie przepzesz. I słusznie mówią, dalibóg!

Już Grzegorzowa zżęła wszystko żyto. Cały tydzień jój to zajęło, choć się kwapiła, aż na niój koszula była mokra. Dzieci oboje jój pomagały, bo i Marysia by-dło gnała przed wschodem słońca na rosę, a na dzień potém dla skwaru i dla much przyganiała je do obórki.

Nie pomogły jój tyle, co kto starszy; ale przecie we dwoje, matka z chłopakiem, uzbierali dziennie ze dwa mendle. Grzegorzowa zaś zawsze była jak ogień do roboty, a teraz to już témbarziej.

Żytko dosychało poskładane w kopki, a Grzegorzowa codzien poglądała na pszenicę, która złociła się pięknie, a wśród której kołysał się od wiatru na wysokim kiju zatknięty strach na wróble. Od czasu do czasu wybiegała sama, albo wysyłała które z dzieci przepłoszyć wróble, bo się stracha niebarczo bały, a w pszenicy na dojzeniu najwięcej zwykle robią szkody.

Pewnego dnia Marynia przygnała krowy z rosy drząc cała. Skarżyła się na głowę, nie jadła śniadania, tylko piła a piła wodę i drżała.

Matka ją położyła, okryła piezyną, pod którą dziewczynina zrobiła się w parę go-

dzin gorąca jak ogień, a potem pod wieczór mokra jak mysz, poczem jej ulżyło, i zasnęła.

Na drugi dzień była zdrowa. Ale na trzeci od samego rana zimno ją trzęsło, a potem gorąco objęło, tak, że krowy Jasiek pognać musiał.

Matka się zafrasowała.

— Ani chybi, zimnica ją napadła. I co ja teraz pocznę w same żniwa z bydłem? Cała pomoc moja—ten chłopak, a teraz jak bez rąk!

Choć roboty było mnóstwo, Grzegorzowa duchem poleciała do miasteczka po lekarstwo. Plebańja była po drodze do apteki, zaszła więc uzalić się na swą nową biedę, i zapytać, jakieby najpomocniejsze było lekarstwo na zimnicę; może proboszcz wiedział.

Rozumie się, wiedział.

— Słuchajcie, — rzekł, — chinina jest najpomocniejsza, ale zachowanie jeszcze lepsze. Wy nad chorą ciągle siedzieć nie możecie, bo robota pilna; dacie jej prozek, a sami pójdziecie do roboty...

— To się wie! gdzieżbym też przy niej siedziała, kiedy się tam zboże marnuje. Siedzeniem jej nie pomogę...

— Hm, kto wie? Ale, otóż pójdziecie, a ona tymczasem albo się zimnej wody napije, albo coś zje szkodliwego, i na nic chinina. Więc trzeba zrobić tak: jutro ją przyprowadźcie do mnie, moja siostra będzie ją lekowała. A i chininy nie potrzebujecie kupować, bo ja mam.

— A toć ja mam pieniądze, cóż mam ojca duchownego na wydatek narażać! Czy ja dziecku będę na lekarstwo żałowała?

— Schowajcie grosz na czarną godzinę. U mnie nic jój nie będzie brakło. Wyleczy się, wydobrzeje, i za tydzień, dwa, oddam ją wam.

— O rety! aż tyle! A cóż ja nieszczęśliwa z krowami pocznę?

Ale nie było rady. Książę przekonał ją, że jak się zimnica zadawni, to potem ciągle wraca, i dziewczynę całkiem zmarnuje, to i tak z niej pomocy nie będzie.

To też na drugi dzień Ewka z płaczem pognęła krowy, a Marysia została na probostwie.

W pierwsze dnię szło nieźle. Krowy pasły się na ściernisku. Ewka, choć jój się oczy klejiły, przemagała sen i nie puściła bydłat w szkodę.

Gzregorzowa spokojnie zwoziła żyto do stodółki.

Trudno szło układanie w zapolu, bo Jasięk ani snopka na widłach do góry nie mógł podnieść z fury, ani też układać w zapolu równo nie umiał; co raz to kłosy wydawał na wierzch dla wróbli, i co raz to Gzregorzowa musiała z fury na zapole, a z zapola na furę włązić.

Ale przy tak wesołej robocie, jak sprzęt, gdzie to już człek się raduje, że plonu z pracy dozekał, i tylko go chować jakby do komory czy do kieszeni, to i ciężka praca lekką się wydaje, i do złości nie

ma człowiek serca. Więc Grzegorzowa śmiała się tylko z téj zwózki.

Ale któregoś dnia przy najlepszej wesołości spadł nowy kłopot na Grzegorzową.

Ewka przysła z pastwiska posiniaczona, a krowa Granicha z ogromną gulą na boku.

Ewka zanosila się od płazu.

Okazało się, że krowy wesły w szkodę, w czyjaś pszenicę, i gospodarz Ewkę oćwicył paskiem, a krowę wyganiając drągiem dęgnął między zebra.

— Jezus Marja! Coś ty narobiła, diawucho! A w czyjemże to polu było? Kto cię obił?...

— A kiej nie wiem, bo ja troszkę się położyłam i czegoś miałam oczy zamknięte. A jak mię chwycił i zaczął bić, tom ze strachu też nie otwierała oczu, aby go nie obaczyć.

— A to dlaczego?

— A bo może to był djabeł, co mi się śnił.

Trudno było od niéj czegoś więcéj się dopytać. Spłakana była i porządnie obita paskiem. Ale przynajmniej nie niebezpiecznie. Krowa za to legła zaraz w obórcce, stęka i nie chce jeść.

Grzegorzowa płacze i załamuje ręce.

Nie było we wsi takiego gospodarza, coby lekował bydło. Ale Grzegorzowa pomyślała, że Pakuła, jako stary człowiek, może się na tém zna.

Posłała Jaśka po niego.

Pakuła krowę obejztał, głową pokręcił,

i doradził bydłę dorznać, bo ma „bebechy” przebite i nie wyżyje.

Wdowa zalewała się łzami, wyrzekła na niegoźiwca, co ją tak ukrzywdził, ale pobiegła do miasteczka, do rzeźnika.

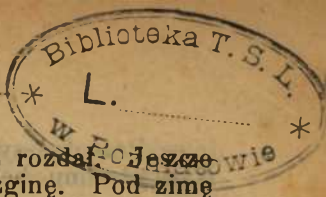
Ten krowisko za byle co kupił. Bardzo jednak ubolewał nad Gzregorzową i doradzał jój, żeby zaskarżyła sąsiada-szkodnika do sądu.

Wszystkie poszlaki były na Karola, bo pszenica jego ojca była rzeczywiście uszkodzona, on miał złość do wdowy, i przytém widziano go któregoś dnia na polu z drągiem pilnującego zboża. Ale pewnego nie było nic.

Idzie więc wdowa na poradę do księdza.

— I cóż mu zrobicie, kobięto?—rzekł ksiądz.—Świadków niéma, bo nawet i dziewczynina czy zamknęła ze strachu w czasie bicia. Karol się wypze, a jak świadków niéma, to sąd nic mu nie robi. Koszta będą, a gdy przegracie, to on do reszty zhardzieje. Tak, to sobie może kiedy pomysli: skrzywdziłem niebogę, a ona mnie nie skarżyła,—i sumienie mu się może odezwie. Zamiast na luźki sąd, zdajcie się na Boski, a Bóg was nie opuści.

Trudno to było tak odrazu wyrzucić z serca chęć zemsty na krzywdzicielu i nie upomnieć się o swoje; ale gdy przeszło dni parę, robota była pilna, pomocy mało, a do sądu tzebaby się odrywać od swego zajęcia, a może jeszcze raz i drugi, opuszczając gospodarstwo, tam się włóczyć... Więc pamięć krzywdy przygasała w Gzregorzowej. Pocieszała się tylko:



— Więcej Bóg ma, niż rozdał. Jeszcze ja od téj kzywdy nie zginę. Pod zimę bydło będzie tanie, to kupię krowinę. A przecie i sąd Boski więcej znaczy, niż ludzki.

W kilka dni Marynia wróciła i także opłakała stratę krowy. Ale już nie gnała bydła, bo na ściernisku łatwo było dopatrzeć i Ewce, a na południe nie trzeba było zaganiać od much, bo ginęły już od chłodu. Za to matka miała więcej pomocy w zbieraniu jazyzny.

Całe żniwa przeszły spokojnie. Pogoda dopisywała i Grzegorzowa wszystko zebrała pomyślnie. Zostawało tylko wykopać kartofle, po których miało się siać żyto, więc trzeba było śpieszyć.

Wszyscy troje kopali żwawo, a Ewka pasła krowę z jałówką. Koń spętany też niewielkiego dozoru potrzebował.

Urodzaj na wszystko był dobry, a już co kartofle na karczunku, to były nieprzebrane!

Radował się z nich najwięcej Jasiak, że to sam karczował z matką.

— Matusio,—mówił,—da Bóg na wiosnę na tamten rok, to jeszcze więcej wykarczujemy, bo zacniemy przed zimą, i ja będę coraz silniejszy. Może ja przez zimę taki urosnę, że już matuli wcale nie dam robić siekierą, tylko wszystko sam? Prawda, matusio?

— Prawda, synku, może. Niech Bogu Najwyższemu będzie chwała, że nam dopomaga.

Cieszyła się i wdowa kartoflami, ale wzdychała też często.

Siew zbliża się, a nasienia młóconego niema. Możeby się nauczyła młócić cepami, i przez zimę to jużci się nauczy; ale teraz tak pilno trzeba, a tyle kopania jeszcze! Jakże wszystkiemu podolać? Dużo, chwała Bogu, urodziło się kartofli, ale też dużo koło nich roboty.

Pakuła obiecał zasiać, ale o młóceniu nie mówił. Nie śmiałyby go prosić, bo wie, że on i u siebie ma dosyć roboty. I przykro jój, bo przez tę chorobę Marysi ani jednego dnia nie pomagała Pakułow przy żniwie, a godziło się wywdzięczyć za oną pomoc przy stogu.

Myśli i myśli, gryzie się. Ale przecie i wymyśliła coś.

Idzie do dworu kupić nasienia gotowego.

Dziedzie jój nie poznał zrazu, ale się ucieszył i zaraz obiecał.

— Bardzo rad jestem, bo nareszcie daliście się przekonać, że nasienie trzeba odmieniać, gdyż to poprawia plon. Choć mam ziarno sprowadzone zdaleka, droższe, ale rad jestem zawsze dawać wam po zwykłej cenie, byleście się nauczyli siać lepsze gatunki. Zawsze to wam wszystkim ogłaszam, aż tu dopiero pierwszy raz mam kupca! Ileż żądacie i dlaczego wasz mąż sam nie przyjechał?

— Wielmożny dziedzic mnie nie poznał, — odzekała. — Ja jestem Grzegorzowa, wdowa, co to wielmożny pan mi czynsz podarował. Przysłał wedle tego, że nie zdołam jeszcze młócić sama, a tu siać pora.

Dziedzic pomyślał, że Grzegorzowa chce darmo dostać nasienia, tak, jak dostała ziemię, więc trochę sposepniał. Nie to, żeby dla niej żałował trochę tego ziarna, bo luźki był człowiek; ale że wolałby, aby była zaradniejsza ta zachwalona mu przez księdza *dzielna baba*, żeby miała swoją ambicję, no, i żeby znała się na tém, że dobrze jest zmieniać nasienie, co on starał się wszystkim kłaść w głowę.

Ale ona, choć na tém się nie znała, ambicję swoją miała, i bardzo.

Dostzegła zaraz na twarzy dziedzica markotność i pomyślała, że ją posąda o zebranie. Zaraz też powiada:

— Mnie bardzo wstyd uprzykrzać się wielmożnemu panu; ja wiem, że w tym czasie to i we dworze młocka pilna, bo to i sobie trzeba, a sprzedać do siewu to wielka łaska. Aleć mnie z łaski Boskiej i pańskiej dobrze się powodzi, to niech wielmożny pan drożej mi policzy, tak, jak sam zagranicą płaci.

Uśmiechnął się dziedzic, zadowolony z ambicji baby, i zapytał:

— Jakże? zawsze sąsiedzi na was krzywi? Któż wam pomaga?..

— Pan Bóg, prozę łaski dziedzica. Nikt mi z sąsiadów nie pomaga, gniewają się

o coś. Jeden tylko Pakuła zasiał mi oto jazynę, a i teraz obiecał. Resztę sama, z pomocą Boską, jak umiem, tak robię.

Dziedzic wezwał dziedziczkę, aby przysła pogadać z wdową.

Dziedziczka weszła. Grzegorzowa jęj się jak należy pokłoniła. Dziedzic cości po jakimuś, bo nie po polsku do żony poszwargotał, aby kobieta nie rozumiała. Dziedziczka się uśmiechnęła, a on znów pyta:

— Jakże to? i oraliście i kosiliście bez chłopca? I potrafiliście tak odrazu mężką robotę?

— A juści, i orałam i kosiłam; a jakże! Nie potrafię ja tak, jak chłop, ale jakoś i na mojem oraniu Pan Jezus urodził.

— Zuch baba!—zawołał dziedzic.—Warciście, abym wam nasienia bez pieniędzy dał, i tak będzie!

— A niech Bóg bron! Niech mi też pan dziedzic tego wstydu nie czyni. Cóżem to ja? dziadówka jaka? żebym wyżebranem ziarnem siała? Dosyć, że mam z łaski pańskiej ziemię, co za nią Pana Boga o zdrowie dla wielmożnych państwa proszę; a już co zboża bez pieniędzy to nie wezmę, boby mi wstyd było przed wszystkimi gospodarzami czy pokazać.

Dziwował się Pakuła, siejąc potem dla Grzegorzowej, że też jeszcze takiego ziarna nie widział.

Żyto było grube jak jęczmień i jasne, a pszenica ciężka jak groch. A czyściuchne wszystko, jakby po ziarnku przebierane.

— Weźcie sobie trochę na odmianę!— ofiarowała Grzegorzowa. — Mówił dziedzic, że to bardzo dobrze nasienie odmienić.

— Ej, temu to ja tam nie wierzę! Gada on nam to corok, ale panowie to zawsze chwałą, co zagraniczne. Nie będzie ono u nas rodziło, na naszym gruncie. Ładne, bo ładne, ale zobaczymy, czy na naszym polu ta ładność się urodzi. Swoje ja już znam. Jeszcze po ojcach mam to nasienie, to i wiem, co jemu trzeba; a to, kto go wie, co mu wygodzi? Ja tam za stary do takich nowych wymysłów! To pańska rzecz, nie chłopska.

Jesiennego czynszu znów dziedzic nie przyjął od Grzegorzowej, i wyraźnie jój zapowiedział, aby wcale z pieniędzmi nie przychodziła, póki albo zamąż nie pójdzie, albo dzieci nie odchowa. I na nowo gniew zazdrośny wybuchnął wśród całej gromady, co z nią razem posłała czynsz płacić.

Tym razem słyszała już dobrze docinki i wyzekania takie, jak gdyby im się tém jaka krzywda stała, że ona nie zapłaciła pieniędzy.

Zmilczała im, i posłała znów do proboszcza o radę.

Zaniosiła i pieniądze te, co na czynsz miała zebrane, i prosiła księdza, aby zawiózł dziedzicowi, bo ona nie chce darowizny, bo to jój tylko wrogów robi.

Ksiądz nie chciał się tego podjąć.

— Jakże-to? dziedzic z dobrego serca chciał wam dopomóc, a wy oddacie? Toć

obraza dla niego. On ma swoją ambicję tak, jak wy swoją; i kiedy raz dał, to nie odbierze. Zresztą, on dał sierotom, a macież wy prawo dla nich nie wziąć? To nie wasze, ale waszych dzieci pieniądze.

— Co dzieciom po nich! Tylko im wrogów robią. Niech ojciec duchowny odda do podziału na wszystkich gospodarzy, to będą dzieciom może życzliwsi.

— Co też wy gadacie! Zła to życzliwość, co się za pieniądze kupuje. A oni teżby nie wzięli. Na piętnastu gospodarzy rozdawszy, wypadłoby każdemu trzy ruble. Cóż to, czy oni potrzebują sierotami tzema rublami się zapomagać? Czy oni nie mają ambicji?..

— To cóż zrobić? Może oddać na ubogich?—biedziła się wdowa.

— Moi kochani! Nie mam prawa, ani wy także, tego, co dane dla małoletnich, rozdawać komu bądź. Dzieci wasze powinny z tego korzystać.

— O Jezuu, to już te sąsiady znienawidziłyby nas do reszty!

— A gdybym ja wymyślił kupić coś takiego, z czego by i dzieci wasze i oni mogli korzystać, to co?

— Gdybyż to można!

— Spróbuję. Oto wasz Jasiek i Marysia też dawnoby się uczyć na książce powinny...

— Och, czy ja to mam czas, prozę ojca duchownego! a i sama pisanego nie umiem. A we wsi szkoły niéma.

— Wy nie macie czasu, to pewna; o-

tóż trzeba kogoś takiego wziąć, coby i czas miał, i uczyć umiał. Jest tu u nas ojciec organistów, niemłody człowiek, a dawniej bywał w szkółkach nauczycielem. Wy go temi pieniędzmi zapłacicie, inni po kolei przeżywią, a on wszystkie dzieci we wsi będzie uczył. I tak z tych pieniędzy cała gromada skozysta i wase dzieci razem.

— A czy oni aby się zgodzą?

— Głupi przecie nie są, wiedzą, że nauka dziecku potrzebna; a jak im ona jeszcze darmo przyjdzie, to zobaczycie, jak będą radi.

Nietylko radi byli gospodarze, ale i wzruszeni szlachetnością wdowy, która im dobrem za złe płaciła.

A jak jeszcze ksiądz przyjechał z nauczycielem na pierwszą naukę i przemówił gorąco do ich serca i sumienia, przedstawiając postępowanie Gzregorzowój, a do zgody w imię Boże wezwał, to nie było takiej ręki, która by się szczeze i zyczliwie do niej nie wyciągnęła.

Jednego tylko Karola widać nie było na tém święcie zgody. Zanadto się wstydił.

Odtąd zgoda stale panowała we wsi. Dzieci zimą się uczyły, a latem pomagały przy gospodarstwie, jak to wszędzie po wsiach bywa.

Każdy z sąsiadów, czém mógł, pomagał wdowie w robocie. Ale i ona jak mogła najmniej uprzykrzała się im o to.

Wszystkiego powoli nauczyła się tak, jak kosenia. A Jasiak przy tak pracowitej matce też się wcześniej chwycił pracy, niż inni w jego wieku chłopcy. Że zaś nie szło, jak u innych gospodarzy, ani groza na niepotrzebne wydatki, ani na wódkę, ani na tytoń i papierosy, więc wkrótce Grzegorzowej zagroda była jedną z najzasobniejszych we wsi.

W następnym roku urodzaj znów był dobry. Ale już najpiękniejszy na włóce wdowy.

Kłosa żytnie i pszenne były dwa razy dłuższe i pełniejsze, niż gdzieindziej, a ziarno na podziw.

To też gospodarze za największą łaskę uważali, gdy im dała ziarna na siew, za co omłacali i dla niej i dla siebie, i zasiewali tak samo.

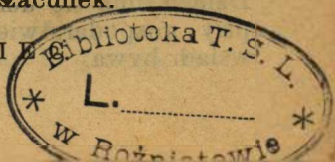
Nietylko nie potrzebowała kłopotać się o młocków i siewaczy, ale byliby jej jeszcze dopłacali, tylko że, jako dobra sąsiadka, nie chciała.

W tej i w dalszych wsiach wszędzie głos pozedł o Grzegowej wdowie. Wszyscy ją nazywali: „Zuch-baba”.

Ale już wymawiając to słowo nikt sobie nie kpinkował, nie zazdrościł, i nie wygrażał. W każdym głosie czuć było życzliwość dla niej i szacunek.

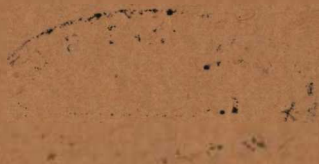
K O N I E

BIBLIOTEKA
UMCS





15.



Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

303746

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000174477